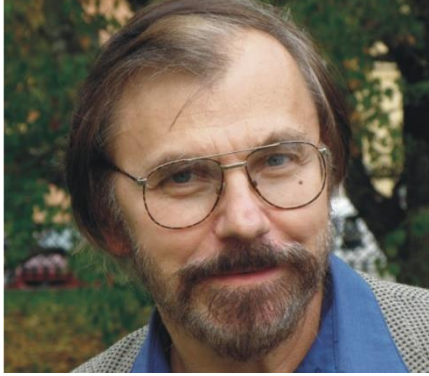


Listy do Pani A. (173)



Fot. Andrzej Dębowski

ON i choinka

Droga i Szanowna Pani!

Boże Narodzenie, to wielkie święto. Szkoda tylko, że jest w dziewięćdziesięciu procentach zawłaszczony przez infantylną komercję. Świecidełka, krasnaliki, muzyczka, choineczki, rozmaite jarmarki i z czekolady Mikołajki. Zapomina się o metafizycznym wymiarze tych Świąt, które nie wymagają takiego odpustowego sztafażu. Oto wydarzyło się coś, co zmieniło bieg historii. A w wymiarze właśnie metafizycznym przyniosło swoje odkupienie, poczucie wewnętrznej wolności każdego człowieka. „Niebo” przestało być czymś abstrakcyjnym, oderwanym od rzeczywistości, Bóg przypomniał, że jest tuż obok, nie w jakimś dalekim „azylu”; że dzieli z nami nasze troski, dramaty, chwile szczęścia, słowem – całą naszą powszedniość. Nie musimy Go szukać gdzieś w mitycznych przestrzeniach. On jest w nas i obok nas. Tak więc, Droga Pani, nasza rzeczywistość jest zarazem zwozyczna jak i nadzwyczajna. Trzeba tylko chwili refleksji, wyciszenia, poczucia wewnętrznej wolności aby odkryć tę radość i ufność, które są istotą naszej, tak zrzeszłą różnorodnej, egzystencji. Reszta – to dekoracje teatralne, narracja odnosząca się do sentymentów i konwencji.

Trudno jednak od tych wielkich, metafizycznych, znaczeń oddzielić to, co przemawia do nas wprost. Ten sztafaż również jest potrzebny, bo też wszystko pojmujemy inaczej na różnych etapach życia. Ważne są te pierwsze wspomnienia, stanowiące późniejszy fundament dojrzałych doświadczeń.

Zacząłem pisać do Pani „filozoficznie”, jakbym sam nie ulegał kiedyś, a i w pewnym stopniu i dzisiaj, owym bardziej zewnętrznym nastrojom oraz wspomnieniom.

Mieszkanie w Zawierciu, w którym mieszkałem do 1959 roku. Duży pokój, piec z zielonych kafli... I choinka... Zapach świerkowego drzewka, zabawki, papierowe łańcuchy. Wśród zabawek tekturowy lis, do którego – pamiętam jak dziś – strzelałem papierowymi „haclami” z drucianej procki. A na rozgrzanym do granic możliwości kaloryferze gotowałem opadłe choinkowe igły. Wydzielały przyjemny, żywiczny zapach.

Na choince płonęły prawdziwe świeczki, co dawało niepowtarzalny nastrój, którego nie tworzą elektryczne lampki. Śpiewaliśmy wieczorem z ojcem kolędy. Gasiliśmy światło, świeczki dawały chybotliwe blaski. A na zakończenie śpiewania zawsze była niby to kolęda niby piosenka „bijcie w kotły w trąby grajcie, i Jezusa przywitajcie” Bardzo mi się ta śpiewka podobała, i zawsze domagałem się, żeby o niej pamiętać.

W samą wigilię czysta zupa z suszonych grzybów, karp, kompot z suszonych śliwek. I punkt kulminacyjny: prezenty. Te od rodziców oraz przysyłane przez babcię z Warszawy. Oczywiście, udawałem niezłomną wiarę, że to wprost od świętego Mikołaja. To wszystko działo się jeszcze przed 1959 rokiem, czyli naszym wyjazdem z Zawiercia.

Dużo później, w roku 1970, zrobiłem małą, stołową choineczkę, na której wisiały wycięte z gazety całe nowe ówczesne Biuro Polityczne z Edwardem Gierkiem na czele. Nie zrobiłem tego z „ideolo-miłości” i admiracji, tylko dla kpiny. Pokazywałem to wszystkim znajomym i z satysfakcją objaśniałem: „wiszą”.

Lubię także wspominać lektury dziecięce (one także w dużej mierze stanowiły prezenty Gwiazdkowe). Fascynowały mnie ilustracje autorstwa świetnych artystów w książkach z lat pięćdziesiątych. Zbigniew Lengren, Jan Marcin Szancer, Bohdan Butenko i wielu, wielu innych. Rozbudzały wyobraźnię różne Cudaczki Wyśmiewaczki, Szyszkowe Dziadki, Krasnale Hałabały, Plastusie, Puce i Burszty... Opowiadania Jana Grabowskiego utrwalały moją miłość zwłaszcza do psów oraz innych „braci mniejszych”.

Przyznam się pani, że zawsze traktowałem „zwierzęta” domowe jak członków rodziny. Piszę w cudzysłowie, ponieważ są to dla mnie, jak zwykłem byłem mówić, „osoby psie”, „osoby kocie”. Określenie zwierzę jakoś stygmatyzuje, o ile jednocześnie nie dopuszczamy myśli, że sami także jesteśmy zwierzętami, tylko innego gatunku, tak jak lew nie jest wilkiem a małpa słońiem. Poza tym przywiązujemy się do nich tak, jak one do nas. Rozumieją nas, a my – patrząc uważnie – z nimi wprost rozmawiamy. Stajemy się trochę jak doktor Dolittle. Nawiasem mówiąc, to była jedna z moich ulubionych lektur w dzieciństwie. Pamiętam, że kiedyś dostałem stare wydanie „Ogrodu zoologicznego doktora Dolittle”. Nie chciałem tego czytać, czekałem na nowe wydanie z ilustracjami Zbigniewa Lengrena, które to ilustracje dokładnie wpisywały się w moją wyobraźnię. Tamte były mi obce. W tych książkach są także okrucy prawdy o zwierzętach. A dziś lubię oglądać serial z Alexem. Jest to trochę bajka o psie, ale też nie do końca, (pomijam zajmujący wątek kryminalno-sensacyjny oraz sylwetki baśniowo sympatycznych policjantów).

A nasz kot? Nazywa się Canon, wołam na niego Kanonik. Na swój wiek jest nawet trochę starszy ode mnie, więc ma prawo być „panem z brzuszkiem”. Zresztą jest to kot niewychodzący, pracuje ciężko przez całe dni trzymając na plecach kanapę. Rozmowy z nim bywają bardzo zajmujące.

Bo czym się te istoty tak bardzo różnią od nas? Chyba tym, że jemy przy stole, a one pod stołem; nie chodzimy pod drzewko, nie robimy „kangura” na trawnikach. A one potrafią kochać i są wierniejsze od nas. Tylko trochę różnią się od nas widzeniem świata. Ale i my między sobą także się różnimy. Uważamy się za najlepsze ze stworzeń. Stanisław Jerzy Lec jakże trafnie napisał: „człowiek – korona stworzenia. Cierniowa”. A one przemawiają do nas, i to nie tylko w noc wigilijną. Dlatego byłem tak bardzo rad, że tegoroczne wakacje na Mazurach spędzałem w towarzystwie psów, dwojga młodych, wesołych polskich gończych Tesli i Nypla oraz piętnastoletniego staruszka – mieszańca Dizla.

Wracając do klimatów z dzieciństwa muszę Pani powiedzieć, że lubiłem również „Świerszczyki” (oczywiście te dla dzieci), „Płomyczki”, „Płomyki”, „Horyzonty Techniki dla Dzieci”. Albo obrazki w elementarzu Falskiego. W moim było też coś mniej przyjemnego: portret Bieruta z pytaniem mniej więcej takim: „Kto to jest? To prezydent Bolesław Bierut”. Dalej był tekst o jego trosce i miłości do każdego polskiego dziecka. Byłem na to uodporniony przez dorosłych. Nawet mu cyrklem wydrapałem oczy.

To wszystko pozwala cofnąć się myślni do lat bardziej beztroskich. Chociaż... do szkoły nie chciały wracać; do chodzenia na ósmą godzinę, do matematyki i stresu z nią związanego.

Jednak chyba najlepiej się czujemy idąc ścieżką własną wyznaczoną przez czas. Ale czasem warto się przemieścić do czasów dzieciństwa, bo teraz po latach zawsze je idealizujemy. Ale życie jest życiem. Pomimo ciepłych wspomnień z czasów, kiedy – jak pisał Stanisław Grochowiak – „Nawet śmierć jest daleka, jak była w dzieciństwie”, przychodzą do nas doniesienia smutne. Oto zmarł zaprzyjaźniony uczestnik warsztatów, które prowadziłem na Słupskiej – Ludwik Wambutt. Człowiek pogodny, satyryk, poeta, aforysta, warszawiak z krwi i kości. Po skończonych zajęciach wracaliśmy razem do domu przez Pole Mokotowskie. Mieszkał w jednej dzielnicy. Pamiętam ciekawe rozmowy, wspomnienia. Fotografował, zachwycaliśmy się wspólnie drzewami rosnącymi właśnie na Polu Mokotowskim. Człowiek bardzo wrażliwy, a jednocześnie prywatnie dowcipny, co nie wszystkich satyryków cechuje. Dawał temu wyraz nie tylko w swoich zabawnych fraszkach, ale i podczas prywatnej rozmowy. To także był człowiek, o którym się myślało, że jest i zawsze będzie. Jak Pani widzi, życie potrafi domieszać często potężną łyżkę dziegciu. Trzeba jednak na rzeczywistość patrzeć optymistycznie.

Pogody wewnętrznej, zdrowia, osobistego szczęścia, nie tylko z okazji Świąt, życząc Pani serdecznie –

Stefan Jurkowski

